



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocz 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru. Na prowincji powieść w dwóch częściach przez Elizę Orzeszkową. — Szlangenbad i jego wody. — Korespondencja z Madrytu. — Pogadanka. — O ubiorach.

NA PROWINCJI

POWIEŚĆ W DWÓCH CZĘŚCIACH

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

„Koło goni, koło dzwoni,
Aż pęknie i stanie:
Serce boli, myślą goni,
Aż i błąd przestanie.“

„Bo przez różne progi, drogi
Koło się potoczy,
Czyś bogaty, czyś ubogi
Śmierć cię w grób zatoczy.“

„Różne sprzchy w mojem kole,
Różne życia chwile:
Różne szczęścia, różne bóle
Uciekną w mogile.“

(Pieśń Kołodzieja).

CZĘŚĆ PIERWSZA.

„Ci którzy dowodzą że bez pracy
i trudu dojść do czegośkolwiek można,
podają ludziom truciznę.“

(Benjamin Franklin).

I.

Niedaleko brzegów Niemna, w żyznej i leśnej okolicy położone były obszerne dobra hrabiny X. Bogata pani oddawna mieszkała za granicą, lub w wielkich miastach krajowych, a majątki swe oddawała w dzierżawę zamożnej sąsiedniej szlachcie.

W jednym z majątków tych Adampolu mieszkał dzierżawca pan Jerzy Snopiński.

Obszerny dwór Adampolski, z domem nie okazałym ale wygodnym, z mocno postawionymi i starannie utrzymanymi budowlami, widniał zdaleka pomiędzy wieńcem gęsto sadzonych topoli włoskich. Wysoki parkan z desek gładko wyheblowanych i porządnie spojonych, obejmował dziedziniec i ogrody, przedzielając je z rozległymi łąkami, które rozciągały się daleko, aż pod stopy lasu tworzącego wązki i ciemny zarys między sklepieniem nieba, a krańcem gładkiej i szerokiej równiny.

W jednym z ciepłych i słonecznych dni kwietnia, około południa, drogą między polami wiodącą do dworu, toczyła się zwolna parą koni zaprzężona bryczka. Na niej siedział niemłody mężczyzna, z mocno szpakowatymi włosami i wąsami, z pogodnym spojrzeniem szarych oczu ocienionych gęstą siwiejącą brwią, z postacią krzepką i dobrze zbudowaną lubo nieco pochyloną przez wiek, a może i przeniesione trudy życia. Owinięty był szarym sukiennym płaszczem, a na głowie miał czapkę oszytą siwym barankiem.

W okół pola zieleniły się gęsto wschodzącym zbożem, pogodnie choć blade jeszcze słońce wiosenne gdzieś gdzieś rzucało złotawe po zagonach smugi, a jakby zwabione blaskiem i ciepłem jego skowronki, wlatywały z pomiędzy niskiej lecz bujnej runi i wznosząc się prostopadłym lotem, śpiewały srebrzyste piosenki. W dali, pod lasem szarzało kilkanaście pługów orzących ziemię pod wiosenny zasiew, a od strony dworu ukazującego się z pomiędzy nie zupełnie jeszcze okrytych liśćmi drzew, dochodziły tłumione przestrzenia głosy i rozmowy krzątających się zapewne koło dworskiego gospodarstwa ludzi.

Podróżny z zajęciem rozglądał się po okolicy. Zmęczone długą znać drogą konie, postępowały zwolna, powożący chłopak z zaspaną fizjonomją, ani myślał o ich napędzaniu, bryczka toczyła się powoli białą, ubitą drogą między dwoma rzędami starych wierzb i jarzębin.

W dali na polu, ukazał się człowiek szybkim i rażącym krokiem idący wąską śród zagonów miedzą i zreźnie przeskakujący rowy, dla ścieku wody wykopane gdzie, niegdzie. Dażył ku drodze i po chwili przeskoczywszy ostatni rów między polem a drogą, znalazł się tuż koło bryczki.

Był to smukły i piękny młodzieniec, w szarem myśliwskim ubraniu, w długim myśliwskim obuwiu, ze strzelbą na ramieniu, w małej czworogranniej czapce z czarnym barankiem.

Ujrawszy nadchodzącego, podróżny jadący bryczką zawołał na furmana:

— Stój Jakóbku!

Konie stanęły, a niemłody mężczyzna uchylił nieco czapki i wskazując ręką dwór o kilka staj położony, zapytał z grzecznością:

— Panie łaskawy, wszak to jest majątek hrabiny X. Adampol?

— Tak panie, odpowiedział młodzieniec z lekkim ukłonem.

— A w tym dworze mieszka pan Snopiński?

— Tak panie.

— Bóg zapłać, rzekł podróżny i skłoniwszy się młodzieńcowi zawołał na furmana:

— Ruszaj Jakóbku, a żywo!

Bryczka oddaliła się, a młody myśliwy popatrzył za nią przez chwilę i rzekł do siebie:

— Kogóż to Pan Bóg prowadzi do nas? zdaje mi się że kiedyś widział już tego pana, ktoby to był? To ciekawe, słowo daję: at! niech sobie tam zresztą ojciec przyjmuje gości, ja pójdę jeszcze postrzelać trochę. Oj, gdyby to gdzie kota nadybać, tobym palnął z fuzyjką! Szkoda że nie wziąłem z sobą chartów.

Tak do siebie mówiąc zdjął strzelbę z ramienia, obejrzał nabój pogwizdując i poszedł dalej brzegiem drogi. Za ledwie uszedł kilkanaście kroków, gdy na jednej z wierzb po nad drogą stojących z głośnym krakaniem usiadła wrona. Młodzieniec spojrzał w górę, uśmiechnął się i wziął fuzę do oka. Wrona nie przewidując groźącego jej niebezpieczeństwa, przechyliła się na gałęzi, podniosła dziób i wciąż krakała jakby rozmawiając sobie z promykami słońca, który igrał na jej czarnych piórach i zaglądał do otwartego dzioba. Nagle strzał rozległ się i wrona nieżywa spadła z gałęzi. Młodzieniec poskoczył, podniósł ją, umocował przy torbie myśliwskiej i poszedł dalej gwizdząc jakiś marsz tryumfalny, niby zwycięzca obciążony zdobytymi trofeami.

Tymczasem bryczka z podróżnym wjeżdżała na obszerny dziedziniec Adampolski. Tuż przed bramą zerwało się przed koni stado gęsi i z wielkim krzykiem wleciawszy nad ziemią, osiadło nieopodal obok niemniej licznej stada indyków. Przewodnik ostatnich, olbrzymi jendor spojrzał na wrzaskliwe sąsiadki, rozpuścił ogon i zabelkotał z pogardą. Jednocześnie z za domu wyskoczyły dwa psy kudłate i poczęły ujadać zawzięcie podskakując ku bryczce. Na te wszystkie odgłosy, które z towarzyszeniem turkotu kół napełniły dziedziniec przez jedno z otwartych okien domu, wyjrzała naprzód głowa kobieca i wnet się schowała; jakby wywołana przez nią ukazała się w innem oknie głowa mężka i także natychmiast zniknęła. Po chwili dopiero otworzyły się drzwi domu i na ganek wyszedł mężczyzna lat przeszło pięćdziesięciu, średniego wzrostu, otyły, z potężną łysiną śród posiwiałych włosów, z twarzą rumianą i pocziwą, ale nacechowaną szczególnym jakimś zafrasowaniem. Znać było, że tylko co włożył czarny sur-

dut, który miał na sobie, bo jeszcze poprawiał i ociągał poły, co chwilę niosąc też rękę do krawata, którego węzeł z pośpiechem zawiązany już się był prawie rozwiązał. Każdy by się domyślił, że dzierżawca Adam pola robił umyślną a pośpieszną toaletę in gratiam przybywającego gościa.

Gdy bryczka stanęła przed gankiem, podróżny rzeźko z niej wyskoczył i gospodarz domu postąpił na jego spotkanie. Spojrzeli na siebie i głośny wykrzyknik wyrwał się z ust obydwóch.

— Andrzej! zawołał dzierżawca, a w głosie jego była prawdziwa i serdeczna radość.

— Jerzy! odpowiedział przybyły.

I rzuciwszy się sobie w objęcia poczęli całować się głośno a długo.

— Kopę lat, kopę lat! wołał w przestankach całowania pan Jerzy. Zkądże Pan Bóg prowadzi? jakim szczęśliwym dla nas trafem zawitałeś w nasze strony.

— A dawno, dawno nie widziałem cię już koleżko, z dziesięć już lat! pono, odpowiedział pan Andrzej uwalniając się w końcu od energicznych całusów dzierżawcy; no, ale widzisz góra z górą nie zejdziesz się a człowiek z człowiekiem, to i niespodziewanie zejść się mogą.

— Ależ że niespodzianie to niespodzianie! pójdziesz do chaty! żona przecie nie wie kto to do nas zawitał!

I wzięwszy pod ramię gościa jak widać wielce mu miłego, poprowadził go dzierżawca Adam polski we wnętrze domu. Z ganku obejrzał się raz jeszcze i zawołał do stojącego nieopodal parobka i z otwartymi ustami przypatrującego się pańskim powitaniom:

— Konie wiaść do stajni i dać im obroku! Furmana zaprowadzić do kuchni i niech mu tam obiad dadzą!

W godzinę niespełna po tem serdecznym powitaniu, w obszernym pokoju, który urządzeniem swoim przypominał izbę szlachecką, ale okazywał zarazem i pretensję do salonu, siedzieli oboje państwo Snopińscy i gość ich pan Andrzej. Przed nimi stały na stole różne wiejskie przekąski i wódeczki, a z odsuniętych talerzy i opróżnionych kieliszków znać było, że funkcja gastronomiczna ukończoną już została.

Gość i gospodarz siedzieli obok siebie. Obaj jednego wieku i patrzący wzajem na siebie z serdeczną przychylnością różnili się jednak wielce między sobą nie tylko przez to, że pan Andrzej był słusznego wzrostu, barczysty, muskularny, ale nie otyły, a pan Jerzy niski i niepospolitej tuszy: nie tylko także przez to, że ostatni miał łysinę, a pierwszy jej nie miał, ale główną i uderzającą między nimi różnicę stanowiły cechy ich fizjonomji. Czoło pana Jerzego było gęsto pomarszczone, ale zmarszczki jego układały się wszędy jak zwykle u ludzi zaprzęgniętych głównie i jedynie troskami materialnymi, ciąglem wywalczaniem powszedniego bytu; zmarszczki zaś pana Andrzeja także liczne i głębokie rysowały się na czole jego podłużnie, a najgłębsza z nich była między brwiami jak to bywa u ludzi pochłoniętych umysłową pracą, i dręczonych często ciężkiem rozmyśleniem o szerokich ogólnych sprawach. W oczach gospodarza domu był wyraz dobroduszej pocziwości, z za której wyglądał frasunek niby z nałogu już w nich osiadły, spojrzenie gościa było pogodne i życzliwe, ale gdy przestawał mówić i zamyślał się, można w nim było dostrzedz odcień smutku. Niekiedy szare i ogniste mimo wieku oczy jego, odbiegały najbliższych przedmiotów i zdawały się patrzeć gdzie daleko, obejmować jakieś szerokie przestrzenie i widnokręgi, a wtedy właśnie bywały najsmutniejsze.

Przyjrawszy się pilnie obydwom rówieśnikom, łatwo było odgadnąć, że pan Jerzy był człowiekiem, któremu całe życie przeszło wśród pracy na kawałek chleba, bez innej myśli jak o zasiewach, zbiorach i młóceniu, bez innych cierpień jak nieurodzaj lub gradobicie, bez innych radości jak niegdyś za młodu wesele z ukochaną Anusią, potem urodziny syna a potem jeszcze lata w których zboże dawało dziesięć kop z morga. Pan Andrzej zaś musiał być koniecznym jednym z ludzi którym królestwo ducha na władcę oddanem zostało, których myśl rada w tem królestwie mieszka.

Naprzeciw dwóch mężczyzn siedziała Pani Snopińska czterdziestoletnia kobieta, chuda, blada, z twa-

rzą nie nieznaczącą i olbrzymim pękiem kluczków przy pasie. Na niej więcej jeszcze niż na jej mężu, znać było gospodarowanie całego życia nieokraszone ani jedną szczyptą poezji, nie ogrzane ani jednym promieniem szerszej, ogólniejszej myśli. Sery, masło i mąka wypiętnowały na twarzy Pani Snopińskiej prozaiczną i oschłą cechę, a postać jej przybrana w czarny wełniany wązki szlafroczek i w biały czepeczek, który nie zupełnie zakrywał rudawe gładko uczesane włosy, wyglądała tak jakby wnet miała zmienić się w długie, zardzewiały i zgrzytający w zamku klucz do piżarni.

— No, kochani Państwo odezwał się Pan Andrzej, teraz gdyście mię podróżnego nakarmili już i napoili, czas mi powiedzieć w jakim celu przybyłem do was i zkąd mi się wzięło na odbycie tak dalekiej podróży.

— To prawda, przerwał Pan Jerzy, choć z duszy i z serca rad jestem cię widzieć, toć jednak od dziwować się nie mogę zkąd się tu wzięłeś. Jak z nieba spadłeś, dali pan, boć to mil chyba z pięćdziesiąt do twego majątku w którym mieszkasz.

— Blisko tego, ale co to znaczy dla takiego zucha jak ja? mówił uśmiechając się pan Andrzej. Wszakżeż tą samą bryczką którą tu przyjechałem, temi samymi dwoma końmi i z tym samym furmanem Jakóbkim, przed dwoma laty odbyłem podróż do Warszawy, ba! aż za Warszawę bo pod same Karpaty.

Oboje gospodarstwo zawołali z podziwem.

— Czyż być może?

— Ot choć krewniacy mi jesteście, nie wiecie jeszcze o moich dziwactwach. A właśnie z powodu tej mojej ciągłej po świecie wędrówki, niektórzy zowią mię dziwakiem i mają może słusność, jeśli dziwactwem godzi się nazwać takie zamiłowanie czegoś bez granic, że dla miłości jaką człowiek w sercu czuje gotów największe ponieść trudy. Otóż ja kochani Państwo Jerzowie mam w sercu miłość taką dla nauki i natury. Jerzy zresztą pamiętać to musi od szkolnych jeszcze czasów...

— O tak, tak, powiedział Snopiński, pamiętam że w szkole ja byłem zawsze hultajem, a ty najlepszym z uczniów.

— Ale miałeś zarazem złote serce i dla tego — nie licząc już związków pokrewnych, polubiłem cię tak, że stosunków naszych nie zerwał ani czas ani różnica usposobień. Otóż lubiąc nad wszystko książkę w dzieciństwie i pierwszej młodości, w wieku dojrziałym zacząłem je sam pisać.

— Wiem, wiem o tem, zawołał Pan Jerzy, i zawsze szczyliłem się z tego, że krewny mój kolega pisze tak uczone książki że, ja i zrozumieć ich nawet nie mogę!

Zaśmiał się Pan Andrzej z tego naiwnego wyznania dzierżawcy i mówił dalej.

— Wiesz pewnie i o tem Jerzy, że specjalne studia jakim się oddaje mają za przedmiot nauki przyrodnicze, kocham naturę, szukam jej wszędzie, jeżdżę po świecie dla zbadania jej różnych objawów, a potem piszę com widział i czegom się w wycieczkach moich nauczył. Te to były cele które zawiodły mię między Karpaty i nad Wisłę, w tych celach pojadę może w roku przyszłym dalej jeszcze w tym także celu przybyłem tutaj. Postanowiłem zbadać wszechstronnie Florę krajową i dla tego z wiedzam kraj nie koleją żelazną ani pocztą, ale swemi powolnymi konikami, aby móżdż jechać zwolna, zatrzymać się gdzie zechcę i na każdym miejscu być panem mego czasu. Gdy przeszły zimy postanowiłem zwiedzić tutejsze strony, miałem naprzód zamiar zainstalować się na kilka letnich miesięcy w waszem Gubernialnem mieście, ale przypomniałem sobie, że mieszkacie tutaj kochani Państwo Jerzowie i umyśliłem założyć u Was kwaterę, tembardziej że dla natury moich badań korzystniejszym będzie jeśli zamieszkać na wsi. Nie będę ciągłym waszym gościem, bo mam do odbycia mnóstwo wycieczek w różne strony waszej prowincji, ale jeśli pozwolicie będę ztąd wychodził i tutaj powracał, co więcej będę tu znosił wszystkie swe zdobyte *allias* pęki ziela różnego rodzaju albo też rysowane przezemnie portrety drzew i kwiatów. Gdyby

to jednak nie było wam zupełnie miłe i dogodne.....

Nie dał mu skończyć Pan Jerzy bo pochwycił go w ramiona i zawołał.

— A! niech Ci Bóg zapłaci za twoją myśl pocziw! Bądź pewny że rad Ci jestem z całej duszy, a choć nie znajdziesz u nas zbytku ni przepychu, toć jednak czem chata bogata tem Ci serdecznie rada. Będę miał przynajmniej sposobność odwzajemnienia ci choć w części tego, coś uczynił dla nas.....

— Nie wspominaj o tem Jerzy! zawołał p. Andrzej.

— Gdybym i chciał zapomnieć nie mogę, odparł żywo Jerzy. Wszak pamiętasz Anusiu, dodał zwracając się do żony jak to tam na onęj dzierżawie którąśmy pod Kownem trzymali grad wybił zboże, bydlę wypadło na zarazę, stogi siana spłonęły na łakach, a dziedzic nie miał względu na nasze nieszczęścia i chciał nas za nieopłacone pieniądze do sądu skarżyć, wtedy Andrzej gdyby nie twoja pomoc poszlibyśmy z torbami....

Przy tych słowach Iza zaćmiła pocziwe lecz zawsze zafrasowane oczy Pana Jerzego, a nawet fizjonomia jego żony rozświeciła się jakby iskierką rozrzwienia.

— Pamiętam dobrze tę wielką biedę naszą i pomoc Pana Andrzeja, rzekła, to też bądź pan pewny że z całego serca radzi jesteśmy, iż pan u nas czas jakiś przepędzisz a tembardziej jeśli to panu ma pomódz do napisania książki.

Widać było że pani Jerzowa czuła się dumną z posiadania w domu swoim gościa który książki pisze, a jeszcze jak rzekł mąż jej — tak uczone że ona by ich nawet zrozumieć ani potrafiła.

Po kilku jeszcze oświadczeniach i przypomnieniach dawnych czasów, z których pokazywało się widocznie że Pan Andrzej niejednokrotnie bywał w przeszłości dobroczyńcą państwa Snopińskich, pan Jerzy zapisał.

— Powiedz że mi Andrzej, jak tam u ciebie idzie gospodarstwo kiedy tak ciągle jeździsz po świecie?

Uśmiechnął się p. Andrzej. Pomyślał pewno że co u kogo w głowie to i w mowie.

— W majątku gospodaruje średni syn mój, odpowiedział. Wiecie o tem że najstarszy jest inżynierem, najmłodszy jeszcze w Akademji kształci się na doktora, a z trzeciego zrobiłem rolnika. Skończył on agronomiczną szkołę i od dwóch lat zwałem na niego cały ciężar gospodarstwa i przywiązanych do majątku interesów, a sam bez przeszkody oddaję się nauce i ulubionym po kraju wędrówkom.

— Szczęśliwy jesteś Andrzej że masz syna, który cię w pracy wyręcza, przynajmniej na starość odpocząć możesz! rzekł pan Jerzy z westchnieniem a w raz frasunku który był normalną cechą jego fizjonomji zwiększył się przy tych słowach.

— O tak, rzekł pan Andrzej, mam prawdziwą pociechę z synów. Wychowałem ich tak aby, oprócz majątku jaki otrzymają po mnie, każdy z nich posiadał zawód którymby i ogółowi był pożyteczny i sobie był niezależny własną pracą zapewnić.

Szybko jednak ocknął się z myśli swych p. Andrzej i jakby sobie coś nagle przypomniał, zawołał.

— A gdzie jest twój jedynak, Jerzy? Widziałem go kiedy miał lat ośm czy dziesięć i pamiętam że ładne i roztropne to było dziecko. Gdzie jest teraz? czego się uczy? na co go kierujesz?

— A zaraz go zobaczysz, odpowiedział P. Jerzy, poszedł zrana ze strzelbą, ale pewnie zaraz nadejdzie.

— Jakto? więc jest w domu zapytał P. Andrzej. Czyżby był na wakacjach? Ależ to nie wakacyjna pora.

— Gdzie tam na wakacjach! rzekł P. Jerzy a frasunek zwiększył się w jego oczach, już cztery lata skończyło się jak wrócił ze szkół do domu.

— Tak wcześnie skończył szkoły? to czemuż nie oddałeś go do jakiego wyższego zakładu naukowego, znać ma ogromne zdolności!

— Gdzie tam skończył szkoły! Przeszedł cztery klasy, a że nie chciało mu się uczyć to i wziął do domu.

— I cóż on tu robi u was tak młodo osiadłszy w domu? zapytał p. Andrzej.

Frasunek zwiększył się na twarzy p. Jerzego.

— Pomaga mi gospodarować, rzekł z cicha, ale wyraz jego oczu smutny i zakłopotany zadawał fałsz słowom.

— Hm! rzekł pan Andrzej i zamyślił się.

— Proszę Pana, ozwała się Pani Snopińska, chłopiec ma Rodziców i kawałek chleba, pocóż mu było cudze kąty po jakichś tam szkołach wycierać?

Pan Andrzej ze zdziwieniem na nią spojrział.

— Zapewne, odrzekł, sami najlepiej wiecie jak kierować losem waszego syna, mnie się jednak widzi szanowna pani Jerzowa, że kto za młodu tych cudzych kątów o których Pani mówisz nie wyciera, ten potem na własny kąt zapracować sobie nie potrafi.

Pani Jerzowa brzęknęła kluczami i odpowiedziała:

— Toć już my dość napracowali się przez całe życie na to, aby nasze dziecko miało własny kąt i kawałek chleba bez pracy.

— Bez pracy... bez pracy... powtórzył jakby do siebie p. Andrzej a oczy jego znowu utkwiły w przestrzeni i stały się smutne.

Pan Jerzy westchnął.

— At, rzekł, już też i ja wolałbym aby chłopiec zajął się czemkolwiek zamiast strzelać do wron po polach od śniadania do obiadu, a potem spać od obiadu do kolacji. Ale cóż robić kochany Andrzeju, u nas harujących na kawałek chleba, jak chłopiec czytać, pisać, a rachować umie to i chwala Bogu, a zresztą byle była ochota do pracy..... byle była ochota.....

— Ale czy będzie on miał tę ochotę jeśli zaprawi się z młodu do bezczynności? zagadnął p. Andrzej.

Pana Jerzego oczy bardzo zafrasowały się, ale pani Jerzowa rezolutnie brzęknęła kluczami i rzekła kiwając głową.

— Et, byle pocziwie żył a Pana Boga umiał chwalić, to na co mu tam szczególniejsze mądrości i rozumy? Ot przynajmniej mamy pociechę że dziecko jest przy nas, między ludźmi żyje i świata się uczy. A chwala Bogu nie powstydzisz się za niego rodzicom! Pan Andrzej sam zobaczy. Jest czego posłuchać kiedy mówi i znaleźć się między ludźmi tak pięknie potrafi, że i hrabiątko jakie może się przed nim schować. To też łapią go tu w sąsiedztwie, na rękach noszą...

— Zresztą, przerwał żonie mowę dzierzawca, zresztą widzisz Andrzeju, syn mój będzie miał jaki taki fundusz, niewielki wprawdzie ale zawsze to coś znaczy. Ja żadnego nie miałem po rodzicach którzy sami całe życie chodzili po posesjach i wszystko co kiedy mieli na starość stracili. Jak żeniłem się z Anusią, trzymałem pięć chat w dzierzawie, a mieszkalem w kurnej nieledwie chałupie. A ot, przy pomocy Bożej wylazło się z biedy i uciułało trochę grosza dla jedynaka. Jemu więc łatwiej pójdzie, bo będzie miał za co ręce zaczepić, a ja nie miałem...

— Aleś miał ochotę i przyzwyczajenie do pracy, przerwał pan Andrzej.

— To, to prawda, potwierdził p. Jerzy.

— A musiał mieć ochotę do pracy, zawołała pani Jerzowa, bo jakby jęć nie miał toby marł z głodu. A nasze dziecko nie umrze z głodu i bez pracy to niech sobie za młodu świata użyje, zamiast ślęczyć nad książkami albo harować przy gospodarce jak parobek.

Pan Andrzej nie już tym razem nie odpowiedział, ale zamyślił się i spuścił głowę na piersi a pan Jerzy spojrzawszy w okno zawołał.

— Ot i Oleś powraca!

Spojrzał i pan Andrzej, i zobaczył idącego przez dziedziniec tego samego młodzieńca, którego był spotkał na drodze zbliżając się do Adampola.

— A, rzekł, tośmy się już widzieli z panem Aleksandrem, spotkałem go jadąc tutaj i rozmawiałem nawet z nim trochę, ale któżby w nim poznał teraz tego małego Olesia którego przed dziesięciu widziałem laty!

— Wyrósł chłopiec jak dąb, rzekł p. Jerzy a żona jego uśmiechała się z widocznym zadowoleniem.

— Jużto proszę Pana, rzekła do gościa, choć jestem matką Olesia ale śmiało powiedzieć mogę, że w całej okolicy nie ma piękniejszego kawalera. To też panienki szaleją za nim, gdyby chciał mógłby choć dziś z każdą ożenić się! dodała ciszej i z figlarnym wyrazem który dziwnie odbił się na jej chudej i oschłej twarzy.

— Ożenić się! tak młodo! zawołał ze zdziwieniem pan Andrzej, toć myślę że ma zaledwie lat 20.

— Dwudziesty pierwszy kończy, ale i cóż to szkodzi że młody? wszak przysłowie mówi: że kto rano i wcześniej ożenił się, ten nigdy nie żałował.

— Przepraszam was kochana pani Jerzowo, rzekł pan Andrzej z uśmiechem, ale po starzej znajomości ośmielię się powiedzieć, że przysłowie w drugiej swej części głupstwo mówi.

— Dla czego? zawołała gospodyni domu.

— Bo człowiek nim się ożeni, zaczął pan Andrzej ale przerwał mu Pan Jerzy.

— Już to co do żeniaczki, rzekł, i ja jestem za tem aby Oleś jaknajprędzej ożenił się. Jak przybędzie familja to próżnować odechce się i niestatkki z głowy wylecą.

— A jak nie wylecą? spytał p. Andrzej a pani Jerzowa nie rada, że mąż powiedzeniem swoim dał do zrozumienia o jakichś niestatkach syna, szepnęła z niezadowoleniem.

— Niestatkki! niestatkki! jakie tam niestatkki! nie ma żadnych niestatków!

W tej chwili otworzyły się drzwi pokoju w którym rozmawiano i wszedł syn gospodarza.

Urodziwy to był chłopak w całym znaczeniu tego wyrazu. Smukły i kształtny, czoło miał białe, gładkie, foremne, oczy błękitne jak niezabudki, włosy niepospolitej piękności złociste, kędzierzawe. Policzki jego opalone nieco od wiosennego wiatru, pokryte były pierwszym puchem młodzieńczym, a nad pasowemi ustami porastał drobny jasny wąsik. Gdy patrzył iskry zdawały się sypać z jego wzroku, gdy uśmiechał się pokazywał zęby białe i równe jakichby nie jedna pozazdrościć mu mogła kobieta. Pięknej twarzy tej nie brakowało nawet wyrazu pewnego sprytu i roztargnienia a także tryskała z niej niewmierna pełnia młodzieńczego życia, które zdawało się szukać sobie ujścia na zewnątrz i wybuchało każdym spojrzeniem oczu każdym ruchem fizjonomji.

Gdy wszedł do pokoju w myśliwskim ubraniu bez torby tylko i bez fuzyi, pan Jerzy zwrócił się do gościa i wskazując młodzieńca rzekł.

— Mój syn, kochany Andrzeju, a potem dodał, Olesiu oto pan Andrzej Orlicki o którym nieraz od nas słyszałeś, krewny nasz i dobroczyńca.

Z wyrazu twarzy młodego człowieka można było domyśleć się, że ostatni wyraz niemiłe na nim sprawił wrażenie. Spieszenie jednak postąpił, podał rękę panu Andrzejowi i uklonił się z ręczniami i z elegancją tchnące jednak troszkę prowincjonalnością. Potem wziął krzesło i rezolutnie stawiając je obok gościa usiadł i ozwał się swobodnie.

— Wszak to pana dobrodzieja właśnie miałem przyjemność spotkać przed dwoma godzinami na drodze do Adampola?

— Ależ bo długo byłeś dziś na polowaniu, Olutku, rzekła Pani Jerzowa.

— Ho, ho, moja mamo! zawołał młody człowiek, co to dla mnie znaczy? gdyby mi się jeść nie zachciało i gdybym nie pośpieszał aby powitać pana dobrodzieja choć go znać nie miałem honoru, dodał z elegancją znowu i przesadzonym ukłonem, jeszczebym godzin ze dwie popolował. A co w domu robić?

I zwracając się do Pana Andrzeja zawołał.

— Ach, nie przedstawisz sobie pan dobrodziej jakie tu u nas życie nudne! gdyby nie fuzyjka, koń wierzchowy i.....

— No, a cożes tam zabił dzisiaj? przerwał pan Jerzy w którego oczach frasunek rósł ciągle od wejścia syna; czy będzie przynajmniej z tego twego polowania pieczyste na kollację?

— Gdzie tam! odparł Aleksander, teraz zwierzyn na lekarstwo nie znaleźć! Trzy wrony zabiłem i po wszystkim. Ale gdyby też papo widział jak to by-

ło zabawnie. Idę sobie drogą, w tem widzę, a wrona siada na wierzbie; ja fuzję do oka a ona dziób do góry podniosła i kracze jak gdyby kogo z pod obłoków wołała. Ja paf! ona bene! gdyby tchnęła ale tak na miejscu i upadła nieżywa. Tak aż trzy zgładziłem dziś ze świata.

— I panu to zabijanie nieszkodliwych ptaków przyjemność sprawia? spytał pan Andrzej którego zmarszczka między brwiami głębszą się stała.

— Cóż robić? panie dobrodzieju, rezolutnie odparł Aleksander; trzeba jakkolwiek czas zabijać. W sąsiedztwo nie zawsze można pojechać, w domu papa gospodaruje, mama gospodaruje a mnie panie dobrodzieju co robić? chyba mrzeć z nudy!

Frasunek w oczach pana Jerzego wzmagął się coraz w czasie mowy syna, pani Snopińska wyszła wywołana do jakiejś gospodarskiej sprawy, a pan Andrzej po chwili milczenia odezwał się żartobliwie:

— Uważam panie Aleksandrze, że panu bardzo często wraca na usta wyraz: nuda.

Aleksander obu rękami uczynił gest rozpaczliwy i odrzekł:

— A, pan dobrodziej przybywasz zapewne z wielkiego świata i nie wiesz jakie to u nas życie na prowincji! Człowiek np. wstaje z rana, zje śniadanie i obejrzy się wkoło siebie. Cóż widzi?

Papa w stodole, mama w spiżarni, parobki młóca, kury kwoceją, gęsi gęgają i koguty śpiewają. Wszystko to razem wzięte, przyzna pan dobrodziej, nie jest wcale zabawnem. Więc człowiek chodzi z założonemi rękami z kąta w kąt, z dziedzińca do ogrodu, z ogrodu na dziedziniec i czekasz obiadu jak zbawienia duszy, nie dlatego żeby się jeść chciało, ale dla tego że to zawsze jakaś rozrywka, urozmaicenie czasu który wlece się jak wóz naładowany po błocie. Przychodzi obiad — a po obiedzie panie dobrodzieju znów to samo co i przed obiadem, człowiek czeka kollacji a po kollacji to jeszcze gorzej, papa idzie spać mama idzie spać, czeladź idzie spać i następuje brzęczenie i kąsanie komarów. Ot, jakie to nasze życie! a zimą to jeszcze gorzej.... Ale po co to panu dobrodziejowi mówić, pan sam pojmiesz co to jest kiedy młody człowiek tak zagrzebie się na wsi.

Westchnął ciężko i podrzucił głowę dla odrzucenia z czoła opadających włosów.

Pan Andrzej przypatrywał mu się bacznie i niezaczynny wyraz ironji przebiegł po jego ustach.

— Hm, rzekł, więc dla rozweselenia tego życia które pan w niepowabnych malujesz barwach, nic innego pan znaleźć jak polowanie na wrony?

W głosie pana Andrzeja drżał dźwięk smutku i sztyderstwa, dosłyszał go znać Aleksander bo spuścił oczy i rzekł ciszej.

— Cóż robić?

Pan Jerzy milczał, w czasie rozmowy syna westchnął parę razy i splótłszy dłonie, dwoma wielkimi palcami rąk kręcił młynka z zafrasowaniem.

W drzwiach ukazała się pani Snopińska i zaprosiła na objad.

Przy stole dzierzawca i gość jego rozmawiali o dawnych czasach, starych swych z sobą stosunkach i wspólnych znajomych. Jerzy stał się rozmowniejszym zagrzany znać starym miodem podanym do obiadu, i obecnością człowieka którego widocznie serdecznie lubił: za to p. Andrzej mniej coraz mówił, spoglądał często na Aleksandra a potem zamyślał się i oczy jego stawały się smutne.

Do stołu zasiadła także młoda panienka, jakaś sierota przez miłosierdzie trzymana w domu państwa Snopińskich. Nazywano ją Antosią; pani Snopińska posyłała ją wciąż z kluczami: nie brzydka była ale blada i mizerna, ubogo ubrana a oczy trzymała ciągle spuszczone wpół ze smutkiem, wpół z pokorą. Siedzący obok niej Aleksander pochylał się często ku niej i prawil jęć coś półgłosem. Widać było że z niej żartował, bo śmiał się ciągle a żarty te nie musiały być miłe, bo Antosia rumieniła się co

chwila po uszy, coraz smutniej, spuszczała oczy a gdy raz zawołana przez panią Snopińską podniosła je z nad talerza, były w nich łzy.

Młoda, rumiana i przystojna dziewczyna ubrana wpół po wiejsku, przynosiła półmiski i odmieniała talerze. Aleksander zerkał na nią często, parę razy uśmiechnął się i mrugnął do niej oczami w znak jakiegoś porozumienia.

Zresztą mieszał się często do rozmowy rodziców z gościem, wypowiadał zdania swoje śmiało, mówił głośno a śmiał się jeszcze głośniej.

Wtedy dopiero spostrzedz można było, że wraz z wrodzonym sprytem i ciągłymi wybuchami wesołego życia, twarz młodzieńca nacechowana była raziącą przy tak młodym wieku śmiałością i pewnością siebie. Graniczyło to niekiedy z rubaszością, bo rozpierał się na krześle, z pretensjonalnym gestem gładził mały wąsik, jadł za dwóch, pił za czterech; zaraz u wstępu obiadu wychylił dwa kieliszki starki a potem dolewał sobie miodu co chwile.

Pan Andrzej patrzył na to wszystko i zamyślał się coraz bardziej.

— Kogoż tu macie w sąsiedztwie? spytał pana Jerzego, gdy służąca podawała ostatnią potrawę.

— Najprzyjemniejsze są dwa domy, odrzekł wnet Aleksander niedopuszczając ojca do odpowiedzi i odwracając się od Antosi zarumienionej po uszy, od konceptu który znać tylko co jej powiedział; o, są to dwa domy bardzo przyjemne mówił dalej. W jednym z nich mieszkają Państwo Siankowscy z dwiema córkami. Sliczne dziewczęta, słowo daję! Panna Ludwika blondynka a panna Józefa brunetka. Na ostatniem zebraniu które było u nich w czasie świąt wielkanocnych, panna Józefa cały wieczór tylko ze mną tańczyła, dała mi nawet na pamiątkę tego wieczoru gałązkę mirtową....

Pani Snopińska nachyliła się do gościa i szepnęła.

— Mówiłam panu że panienci głowy za nim tracą! a zwracając się do syna dodała głośno.

— A pokażże nam Olutku tę gałązkę; czy masz ją przy sobie?

— A jakże, moja mamo! spoczywa na mojem sercu! zażartował Aleksander i wyjąwszy z kieszeni kamizelki malutki elegancki pugilares, wydobyl zeń uszlą gałązkę i podniósł ją w dwóch palcach z miną tryumfującą.

— A co? szepnęła gospodyni domu do gościa i zachichotała po cichu.

— Drugie przyjemne sąsiedztwo nasze jest majątek Piaseczna, mówił znowu Aleksander. Mieszka w nim pani Karliczowa, wdówka, no, już nie pierwszej młodości ale cudo kobietka, słowo daję! wesoła, żywa i bardzo grzeczna choć bogata. A oczki jakie ma! oh! o! w tych oczach wiele jest sekrecików tylko dobrze przypatrzeć się trzeba. O jednym z nich ja wiem — bardzo miły sekrecik, słowo daję.

I uśmiechnął się ze znaczącą miną.

— To tylko pewno, ozwał się żartobliwie pan Andrzej, że gdybym był kobietą nigdybym panu nie dał żadnej pamiątki ani powierzył żadnego sekretu.

— A to dla czego, panie dobrodzieju? zawołał Aleksander.

— Bo pamiątki pan pokazujesz, a o posiadaniu tajemnicy głośno opowiadasz. To trochę kompromituje damy.

Aleksander spuścił oczy i zarumienił się mocno, w tej samej chwili wstano od stołu.

W pół godziny po obiedzie pan Andrzej rzekł do gospodarza domu.

— No, kochany przyjacielu, ponieważ dość długo mam tu u was pozostać, przeznaczyłem mi zapewne osobny kąt jaki. Zaprowadźże mnie do niego, bo chcę odpocząć po długiej podróży i list napisać do syna.

Pan Jerzy poprowadził gościa przez kilka pokoiów ze szlachecką przybranych prostotą, a nawet po części gospodarskimi zarzuconych gratami, aż weszli na wązki kurytarz z obu stron którego było po parę drzwi.

— Wybrałem dla ciebie Andrzeju, rzekł gospodarz, najstronniejszy pokój, bo choć nigdy nie zajmowałem się pracą książkową, wiem jednak że wymaga ona cichości i odosobnienia.

Do wszystkich gospodarskich ruchów ztąd najdalej,

bo z jednej strony kurytarza są składy, a z drugiej pokój twój i Olesia. Ale, ale, dodał nagle, muszę też zobaczyć czy chłopiec mój jest u siebie i powieść mu aby cicho się sprawował, bo będzie miał ciebie sąsiadem.

— O, proszę cię Jerzy, nie kępuj dla mnie swego syna! zawołał pan Andrzej, ale gospodarz otworzył już drzwi pokoju Aleksandra. W pokoju tym było kilka drewnianych stołków, pod ścianą stała to-karnia, dalej leżały różne przyrządy stolarskich robót, gdzieindziej kilka rozpoczętych koszyków z farbowanej łyzy — pod oknem był stolik a na nim okrągłe lustro, dwie wypróżnione butelki od wódki czy piwa. Między oknami naprzeciw drzwi od kurytarza, stało łóżko a na nim leżał Aleksander z twarzą zwróconą do sufitu. Oczy miał zamknięte i spał tak mocno, że słychać było nawet lekkie chrapanie.

Pan Jerzy spojrzął, machnął ręką z niezadowoleniem i drzwi zatrzasnął. Potem wprowadził gościa do przeznaczonego mu mieszkania.

— Powiedz mi Jerzy, zapytał po chwili pan Andrzej, co znaczą w pokoju twego syna te wszystkie to-karskie, stolarskie i koszykarskie przyrządy które tam widziałem?

Snopiński znowu machnął ręką i odpowiedział.

— Et, kleci on tam coś czasem, toczy, hebluje albo splata ale to Boże odpuść, zdarza się raz w rok około święta Wielkiejnocy.

— Czy ma zdolności do rzemiosł?

— I jakie! rzekł Pan Jerzy, jeżeli weźmie się do czego to istne cacko robi, tylko że.... a!....

Nie dokończył i oczy jego zafrasowały się mocno.

— To dziwne, rzekł p. Andrzej, a do nauki zdolności nie miał?

— Gdzietam! i do nauk miał zdolności, on do wszystkiego zdolności ma tylko... ot żal się Boże o tem mówić!

Jeszcze raz machnął ręką, westchnął i z bardzo zafrasowaniem oczami pożegnawszy gościa wyszedł.

Pan Andrzej szerokimi krokami przechadzał się po pokoju. Smutny był i jakby trochę gniewny. Pocięła ręką czoło i mówił niekiedy do siebie.

Ale cóż? zrana do wron strzela, po obiedzie śpi, na nudy narzeka, kobietom ubliża i nie wieć! A zdolności jednak są, ale cóż po nich?

Westchnął, pokiwał głową smutnie.

(d. c. n.)

Szlangenbad i jego wody.

(Korespondencja).

Niedaleko Wiesbadenu, o milę od Szwalbach, rozstępują się nagle góry i zarośla, by ukazać zdziwionym oczom podróźnego śliczną Szlangenbadu dolinę. Trudno miłszj niespodzianki, piękniejszego krajobrazu. Mała to dolina, otoczona wieńcem gór Taunus, przedłużona przesmykiem wybiegającym wązkowatą szosą na Reingau, posiada wszelkie warunki uzdrawiające i nęcące oko. Wszystko jej sprzyja: powietrze gór czyste, Taunus oddalony od śnieżnych linii, a zatem z bujną, liściastą wegetacją, otulający ją macierzyńskim ramieniem, żeby nie zasnęła wielkich wicherów świata, zapach bukowych i świerkowych lasów, wreszcie wielkie pokłady kwarcu i szwastu, dostarczających ślicznych szfrowych dachówek, tak dobrze naśladowujących cynkowe dachy pałaców. Te skarby Taunusu sterujące gdzieindziej skałami, wpływają też na miejscowe źródła ciepłe, dochodzące w stanie naturalnym 24 1/2 stopni Réumura. Analiza ich dopełniana była kilkakrotnie; — ostatnią Da Fresenusa z 1852. r., ogłosił p. Bertrand, w dziełku swoim: „Schlangenbad et ses eaux thermales“. Z moich spostrzeżeń wyprowadziłem tylko wnioski: że woda musiała tu kiedyś zrzucić wielkie spustoszenia, i że długo pokrywała piękne winnice Reingau, gdyż do dziś dnia znajdują tu jeszcze skamieniałe muszle. Neptunicz-

ne te skały bardzo mnie zajęły; dają się łupać niby spruchniałe domostwa, to ułożone jak słoje drzewa, pokład na pokładzie, szary, kruchy, to znów połyskując kawałkami niby czarnego kamiennego wę-gla, do którego kwarc ma wiele podobieństwa. Są to tylko spostrzeżenia, do jakich mnie doprowadziła nadzwyczajna przejrzystość wody Szlangenbadzkiej, która choć mineralna, czystsza jest od każdej krynicznej.

Pragnąc dojść tego przyczyny, zapuściłam badania w dziedzinę geologii, ale bądź że profanka nie umiem szukać w bogatym łonie ziemi, bądź że nie mam śmiałości zużytkowania własnych uwag, znajdując je może błędnymi, dotąd nie zupełnie nie wiem, dla czego woda tutejszych strumieni tak przejrzysta, ciepła, tłusta prawie, aksamitna w dotknięciu, niebieskawego jest koloru? Dla czego jak brylant odbija promienie światła, obwodzi kontury włożonego ciała, niebieskawą, złotą, zieloną linijką? Czyż przeciekając między kwarcem i kryształem, nabiera od nich djamentowego blasku? Można by na tem tle ułożyć legendę o kryształowej wodzie. — byłoby to poetyczne. Ale w nauce ścisłej, gdzie badania muszą mieć podstawę prawdy, gdzie wszystko należy dokładnie zgłębiać, potrzeba koniecznie logiki. Nadaremno badałam, dla czego ręka zanurzona w tej wodzie wydaje się marmurem wyszłym co tylko z pod dłuta Canovy? Dla czego traci inkarnację, a przyjmuje białość, zaokrąglenia, cienie i przezroczystość marmurowego posągu, zwłaszcza że woda niebieskawa?

Tyle o wodzie ze strony jej powierzchownej: co do skutków, wiem że działa zbawiennie, bo sama widziałam cuda. Przed kilkoma dniami przyjechała tu pacjentka, którą dwa lata temu wożono na wózku z powodu osłabienia kości pacierzowej; — dziś chodzi po górach bez laski, i naturalnie jako młoda, z wielkiem uniesieniem i wdzięcznością rozповіда o kąpielach Szlangenbadu. Zapowiadano już biedaczce, że zawsze zależeć musi od wózka i dobrej woli powoźącego. W ośmym roku życia, to prawdziwa rozpacz! już i tak cztery lata wytrwale znosiła to jarzmo. Wiele również osób nerwowych, szuka tu ulgi.

Pod koniec Sierpnia piękny ten i cichy Szlangenbad, zmienia zupełnie swój charakter. Woda mając własność wielkiego działania na skórę, równania wszelkich jej niedoskonałości, co dało kąpielom nazwę. „Bains de beauté“ ściąga tu Paryżanki, które w nadchodzącą zimę, pragnęłyby niejako w nową wystąpić skórę. Trudno wtenczas poznać tę dolinkę czarującą, czystą, poetyczną, pobudzającą do rozmyślenia, podnoszącą w człowieku uczucie piękna. To już nie ona! Od razu zapełnia ją dwadzieścia wagonów pięknych i niepięknych kobiet, z trzema centnarami strojów na osobę, zaczyna się współzawodnictwo w toaletach, ztąd plotki, nieporozumienia, hałas, wrzawa, i z raju robi się prawdziwy czyściec. Chorzy uprzedzają zazwyczaj ten letni karnawał odbywając kurację z początku sezonu, kiedy jeszcze świeża roślinność, czyste powietrze gór wyniesionych tylko 900 stóp nad poziom morza, nęci i uzdrawia.

Dla opisanie czarownej miejscowości tak urozmaiconej przez naturę w połączeniu ze sztuką, zabraknie mi zapewne czasu, bo w ciągu jednomiesięcznego tu pobytu, trudno będzie wszystko zwiedzić. O! bo Szlangenbad nie dzisiejszy, miał też świetną swoją przeszłość, po której pozostały się jeszcze pamiątki.

Źródła odkryte w roku 1657, po kilku szczęśliwych kuracjach powoli nabywały sławy, a gdy w roku 1701 Elektor Moguncki wybudował sobie wspaniały pałac, Szlangenbad stanowił własność trzech elektorów, których granice schodziły się z sobą przy źródłach, jakby na złość Mogunckiemu, dostał dwa jeszcze wspanialsze zamki. Wszyscy trzej elektorowie jeździli tu na parę miesięcy, patrząc na siebie niechętnie jak nasrożone indyki. Co zrobił jeden, naśladował go drugi, a trzeci jeszcze ich przewyższał. Nareszcie przyszło jakoś do zgody, a na pamiątkę wybudowali dworek, w którym jedząc przy jednym stole, każdy mógł siedzieć

na swoim własnym terytorium. Domek do dzisiaj istnieje i jest rzeczywiście na zbiegu trzech granic.

Gdzie dwóch się kłóci zwykle trzeci zyskuje, co dopiero skoro do kłótni trzech należy! To też góry Szlangenbadzkie dowodzą tego usiłowania w upiększeniu; — każdą z nich zamieniono w park poprzerynany ścieżkami, zostawiając jednak urok dzikiej natury jak sterczące skały i niespodziewanie wytryskujące źródła. Gdzie było pusto pozakładano grabowe szpalery, to sklepione i wijące się do koła góry, to jak wielkie parawany z powycinanymi oknami, z których prześliczny widok na taras, stanowiący ranny spacer dla chorych.

Idąc po za takimi parawanami, można niewidzialnemu zlustrować całą publikę, tańczyć walc po muzyce, a nikt nie odgadnie nawet obecności. Szpalery te założył elektor Moguncki Franciszek, któremu duchowna powaga nie pozwalała mieszać się z świecym towarzystwem dam, nawiedzających kąpiele, najpierwsze podówczas na całe Niemcy. Dotychczas istnieje łazienka elektora, wielka jak sadzawka, wykładana jak inne marmurem.

Kąpiącym się dla zdrowia, nie wolno było wychodzić z domu po 9 wieczorem, ale w owych świetnych czasach, w tej dopiero porze zaczynało się życie i ruch w Szlangenbadzie. Spacer przy świetle księżycy, pikniki przy pochodniach, dały małej dolinie taką sławę, że przed samą rewolucją francuską, nie było arystokratycznego kółka tak we Francji jak w Niemczech, któreby nie posyłało tam swoich przedstawicieli. Ta cecha została i dzisiaj, bo lista używających kuracji to po większej części same herbowe tarcze z wielkimi jak pycha ludzka pióropuszcami.

Rewolucja francuska zadała cios Szlangenbadowi; po roku 1780 chylił się ciągle do upadku, zapomniano powoli cudownych skutków jego źródeł, i dopiero od lat 40 znów się podnosi. Coraz więcej bywa tu osób, a choć przestał być „*le vraie nid des amours*“ nie przestał jednak powracać utraconego zdrowia, nie przestał wywierać zbawiennego wpływu na tych, którzy zdrowi na ciele, przyjeżdżają tutajszą ciszą leczyć skołataną duszę. Próżno tu szukać reünionów i rozrywek, każdy zatrudnia czas jak może, muzyką, poważniejszymi studjami wreszcie wycieczkami w śliczną okolicę na ostach lub własnych nogach, którym z doświadczenia mówię, że lepiej zawsze ufać.

Prócz wody źródlanej, Szlangenbad położeniem swoim i powietrzem leczy, mając dla szukających jego spokoju, wszelkie możliwe wygody i przyjemności. Sześćdziesiąt domków i pałacyków białych jak mleko, z balkonami poobwieszanymi girlandami winna, porozrzucone są w malowniczym nieładzie jak guiazda jaskółcze poprzylepiane do murów średniowiecznej warowni. Środkiem doliny ciągnie się zielony gaik kwitnących katalp, świerków, drzew cierniowych, których różowe kwiaty podobne polskim stokrotkom, tworzą jeden wielki bukiet. Wszędzie pełno wody; przed pałacem księcia Nassau szumi fontanna niby wierzba płacząca, z żałosnym szmerem rozbryzgując łzy swoje. Tuż obok niej pędzi bystry potok, spieniony jak rumak stepowy; za chwilę złączy z Renem swoje wody, na swych barkach pokolysze statki służące rodzinnej krainie, i potem jak rekrut młody wpłynie wraz z innymi w ocean świata, i dumny, straszny a wspaniały, zniweczy nieraz zabiegi pysznego człowieka, któremu owa fontanna jak turecka branka cichym szmerem przyspiewuje. Parę tygodni pobytu w tem czarującym ustroniu, samo już przez się zrzadza dziwną reakcję. Czy to z powodu usunięcia się od wszelkich znajomości, czy z wolnego rozporządzenia czasem nieobciążonym żadnymi obowiązkami, człowiek zupełnie się odmienia.

Podzieliwszy godziny na wypełnienie przepisów doktora i poważniejsze studja, jakich potrzebę mimowolnie czujemy otoczeni skarbami natury, zostaje nam jeszcze dużo czasu do zastanowienia się nad sobą samym. Im bardziej oddalamy się od ludzi, tem bardziej myśl za nami goni; im więcej obcujemy z naturą, tem więcej rozwija się w nas uczucie

miłości, najpierw dla Tego co tym cudom dał życie: potem dla tych których nazywamy braćmi. Wnet też przychodzi porachunek z samym sobą, czy wypełniamy swoje posłannictwo, czy życie nie mija jak u pasożyta, co zrobiliśmy dotąd, i czem moglibyśmy wynagrodzić opieszałą pracę. W życiu przy dobrej woli zrobić można wszystko, byle wytrwale, byle się nie roztkliwiać i nie rozplwać w narzekanie. Kiedy cała ludzkość cierpi, kiedy poważnemu jej pochodowi na wyżyny postępu, przeszkody tamują drogę zawałając ją łomami skał i kamieni, to nie łyżę je usunąć, ale ręce kierowane rozumem i poświęceniem.

Ale gdzie mnie zapędził Taunus, rozgraniczający nas swoimi lasami od reszty ludzi! Gdyby moi sąsiedzi w Szlangenbad przeczytali ten ustęp, mieliby słuszne prawo do obrazu; winą przecież nie moja, że nie kazali nam żałować naszego odosobnienia. Otaczają nas w około dzieci Albjonu: ile razy siadę do fortepianu, zaraz sąsiadka z dołu przysłała z grzeczne oświadczeniem, że chce odpocząć, a muzyki znieść nie może. Sądziłam że tylko mój Beethoven zapewne źle pojęty, tak mocno ją przeżyła; — spróbowałam Straussa, toż samo, — nie wiedziałam co myśleć. Na drugi dzień, na pociechę mojego talentu, doktor nasz opowiedział nam, że towarzystwo muzyczne zebrane w sali obiadowej, nad którą mieszka Anglik, próbowało Symfonii Hajdna Es dur na cztery ręce, lecz zaledwie końca strony dograno, robi się straszny hałas, łomotanie w sufit, potem wybijanie do drzwi tak mocne, że i Hajdn umilknąć musiał. To Anglik tak zapalczywie przedrzeżał się muzyce, zapowiadając kelnerom aby uprzedzili grających, że jeżeli nieoprzestaną, nie będzie uważał czy to damy czy panowie i strzeli. Miał w ręku rewolwer. Nieustraszone wirtuozki zaczęły pieśni Mendelsohna, lecz za dwoma taktami, dał się słyszeć wystrzał na górze i biegnięcie po wschodach. Nie było co czekać, a gdy Anglik wpadł do sali znalazł plac boju pusty, porzucone krzesła, stoliki, pulpity, oraz porzuconą mantylkę i kapelusz, których trudno było w popłochu odszukać. Ubawiłam się bardzo tym trzeczo śmiesznym wypadkiem, a dowiedziawszy się że to nie był warjat, lecz tylko taki ekscentryk anty muzyczny, postanowiłam iść jutro na ową salę i zagrać Węgierskiego czardasza, lub mazura Lewandowskiego. Ciekawam, czy te nowe melodie podobają się będą delikatnym nerwom marynarza; może będzie łaskawszy i na moją sonatę Beethovena, tak nieznośną dla sąsiadki z dołu.

Jak też tu klasycy niemieccy dobrze odbijają w górach, w pośród tego ludu spokojnego, tych siwych staruszków w trzewikach wyciętych, z okrągłą niemiecką twarzą, kolanami jak węzły zginającymi się niby w takt walca eleganckiego! To istna symfonia Hajdna, naiwna i prosta, to czysty Mozart uśmiechnięty w menuecie, — widać że za tło swoich improwizacji brali ustępy z życia tutejszego ludu.

Wgłębiając się w naturę, patrząc na góry, przychodzi na myśl muzyka Szuberta pełna tajemniczości, jak ten kraj gnomów, jak te szumiące lasy, przez które pędzi ojciec z dziećmi, dotkniętem już laską Erloka. Trudno wypowiedzieć, co to za poetyczna strona przy całej prostocie. Jesteśmy o pół mili od Renu, gdzie każdy zamek ma swoją legendę. Natrafiam tu na naszego Popiela i inne: wszystkie chcą sobie zebrać dla pamiątki. Okolica po za górą bardzo teraz ożywiona. W Worms zjechało się 40.000 Protestantów, w celu ułożenia odpowiedzi Papieżowi, wzywającemu ich na konsylium. Obradom przewodniczy nowa gałąź protestantów bardzo wzmagająca się w Niemczech. Wedle ich mniemania, ta wydoskonalona religia dająca każdemu wolność przekonań i zupełną swobodę będzie właśnie tą, co ludzkość całą zjednoczy w jedną owczarnię. Prócz żarliwych protestantów cały Reingau jest katolicki. Szlangenbad że ma jeden kościół, odbywa się więc w nim nabożeństwo jedno po drugim, i katolicki ksiądz ustępuje miejsca pastorowi, podając sobie przyjacielsko rękę. Na tym szczególe drobnym na pozór, ale wielkim

w swoim moralnym znaczeniu, kończę dzisiejszą korespondencję. Za chwilę czeka nas podróż Renem do Coblenz w pośród malowniczych obrazów nadbrzeżnej okolicy, uroczej jak litewskie Rusalki nęcające wędrowców czarodziejską pieśnią.

Natalja B.....a

Korespondencja z Madrytu.

Z okien mego mieszkania przy rynku zwanym Plaza Mayor, wysokiem bo aż na piątym mieszcącym się piętrze, prześliczny przedstawia się widok. Cały Madryt leży jak na dłoni i patrząc na niego jak ptak zawieszony w powietrzu, mimowoli potracasz myślą o ceglanych murach otaczających go w około, o piętnaście bram stanowiących/przez niego wejście, o kopuły i wieże siedemdziesięciu siedmiu kościołów, wreszcie o wspaniałe szczyty królewskiego zamku, wznoszącego się poważnie na wzgórzu w kształcie regularnego czworoboku. Przyznacie że widok taki mimowoli nęci do marzeń, tymbar dziej oddalonego od ojczystego zakątka i progów domowej zagrody. W wyżynie też mojej na marzeniach nigdy mi nie zbywa, i gdyby fotografia mogła myśli odwzorowywać, dałbym wam setki zwojów zapisanych na wszystkie strony, z których choć odrobinę wydobylibyście ciekawości.

Ale porzucmy marzenia, tę bezużyteczną łupinę przejaw rozumu wiecznie szukającego prawdy.

Oto Prado najpiękniejszy z publicznych spacerów. Wodotryski wyrzucają obfite strumienie, a w każdej kropelce miga słoneczny promyk, niby z brylantów ułożony uśmiech dziewicy anioła.

Pomiędzy cyprysami, w osłonięciu drzew pomarańczowych i cytrynowych, stoją statuy, ciche, milczące, jakby nadśluchiwały dalekiego echa burz przeszłości, a z obawą spoglądały w przyszłość. Tu i owdzie przesuwają się powozy, pędzą jeźdźcy na spienionych rumakach, poważnie przechadzają się grona z wybrańszych towarzystw madryckich, a w każdej twarzy zdaje się wyglądać starożytny Celtyber, ze spojrzeniem Rzymianina, z szorstkością Germana, a powagą Maura. Od wszystkich też tych narodowości Hiszpanie przyjęli cząstkowy spadek moralnego dziedzictwa, dodawszy do niego zapal religijny aż do fanatyzmu posunięty, który długo w błędnym kółku niesnasków domowych, wstrzymywał rozwój wewnętrznej pomyślności i popychał szybkim biegiem do zupełnego upadku.

Z tego też względu historia Hiszpanii jest niezmiernie ciekawą i nauczającą, znać ją wszyscy powinni, jako uczącą żywym przykładem, do czego zdolnym jest egoizm ludzki i jak umie z każdej nawet najświętszej rzeczy, wyciągać materialne korzyści. Opatrzono się jednak: dziś niepewność, niepokój, — każdy się pyta co będzie dalej, — przeszłość tak niedawno lecz bezpowrotnie miniona zacierza się już w umysłach, a przyszłość jeszcze mgłą przysłonięta. Taki tu stan obecny. Dla świadka tylko biernie śledzącego wszystkie fazy tego wielkiego przesilenia, dla cudzoziemca który nie biorąc żadnego udziału w krzyżujących się sprawach, bezczynnie spogląda na tę wzniostą pracę przetwarzającego się organizmu, stan taki jest niezmiernie mówiący. W takim położeniu lepiej jest zamknąć oczy i uszy i otworzyć je dopiero na dokonane dzieło. Lecz chwil dobrowolnego umysłowego ostracyzmu, można przecież użyć na badanie winnych objawów pulsu życia tego narodu, tak godnego ze wszechmiar uwagi. Płody piśmiennictwa krajowego obfite pole studjum przedstawiają, żywem są bowiem odbiciem hiszpańskiego charakteru, na którym ognistemi zgłoskami wypiętnowały się wszystkie dziejowe przebiegi ludu, co z dokonanych przed wiekami świętych czynów, ze wspomnień dawnej wielkości i potęg zachował pyszną dumę i wyniosłość: z walk o obronę wiary gorące i fanatyczne religijne uczucie: z dumnego odosobnienia się w upadku, oryginalność, cechy całkiem odrębne: z długoletniej apatii przeszkadzającej rozwojowi na wzór współczesnego ludzkości ruchu, naiwność wieków w pierwot-

nych i średniowieczną rycerskość. Do tego dodać należy iż duch narodu nieprzeżyty, nieskażony długą wędrówką na drodze materialnego postępu, tryśka pełnią soków żywotnych, świta przyszłością promienną. Z długiego pobytu Arabów, mowa hiszpańska nabrała barwy orientalnej, obfitości przyrównań, metafor i allegorii. Zarzucają jej jednak pewną jaskrawość, przesadę i napuszoną, którą zwykle kładą na karb zbytcej dumy kastylskiej, a które w wielkiej części jest także wynikiem bardzo naturalnym biegu zdarzeń. Czyż dziwić powinno iż bohaterscy rycerze, śmieli żeglarze, opowiadając o wielkich rzeczach, mimowolnie wpadali na wielkie wyrażenia? Bez względu na zarzuty takowe uchylić się nie dadzą. Język hiszpański jest jednym z najbogatszych, pełen wdzięku, siły, i majestatyczności sobie wyłącznie właściwej. W ustach wielkich mówców Hiszpanji czaruje, porywa, nakazuje, wszakże w stylu wielu pisarzy uderzają czasem rażące sprzeczności szumnych wyrażań, frazesów nadających tuż obok prostoty tak zbytcej, że aż na trywialność zakrawa, lub przy zwieźłości naturą języka tak doskonale ułatwioną, nużąca i nudna rozwlekłość. Można to w części przypisać sprzecznościom charakteru narodowego energicznego, gorącego i leniwego zarazem, a więcej jeszcze tak długiemu zaniedbaniu nauki i kształcenia się na obcych klasycznych wzorach. Kilkowiekowe odosobnienie się Hiszpanji, jak w każdym innym względzie tak i w literaturze postawiło szkodliwie rozwojowi zapory. Też same czynniki które posuwają ludzkość na drodze postępu materialnego i doskonalenia instytucji społecznych, również działają na kierunek myśli, nadają jej zwroty całkiem niespodziewane, i ztąd jej objawy zadziwiają niejednokrotnie odmłodzeniem, i nowym zupełnie poletem. Powiadają że nie już nie ma nowego pod słońcem, jednakże natura ludzka jest gruntem który się nigdy nie wyczerpie, a w powszechniej zamianie plodów niezawodny leży środek, by go od zjałowienia uchronić. Fakt to niezaprzeczony. Ułatwienie komunikacji dla przemysłu, sztuk i nauk również wzrost ich przyspiesza. Tak samo zupełnie rzecz się ma co do literatury. Jednym z najskuteczniejszych źródeł do odmłodzenia wyobraźni, jest bez żadnej wątpliwości zapoznanie się z piśmiennictwem obcych narodów. Jeżeli za naszych czasów może się znaleźć silny pierwiastek odrodzenia dla poezji, wymowy i sztuki, to jedynie szukać go wypada narodom, wtajemniczając się w zasoby jedynie drugich i udzielając sobie nawzajem gromadzonych przez wieki skarbów. Poznanie owoców obcej inteligencji daje nowe pobudki, wznieca nowe myśli, bujniejsze obudza uczucia, szersze horyzonty otwiera, a samodzielność nie tylko nie traci, owszem zyskuje na takiej zamianie. Któż bowiem pozazdrości nie zmienną od wieków samoistnej oryginalności chińskiej? Niejednokrotnie dzieje literatury przedstawiają podobny proces odradzania się, chociaż zapewne mniej ogólny niż to dziś jest możebnem a po niekąd koniecznem. Za każdym razem zaczynało się od samoistnego popędu, potem następował period naśladownictwa często zbytcej, niewolniczego, aż w końcu wyrobiło się podobieństwo bez naśladowania. W miejscu sztucznego odwzorowania, potrafiano już tworzyć oryginalny zbliżony tylko do obcych wzorów równym stopniem udoskonalenia, do jakiego literaturę doprowadzono.

Hiszpania po świetnej tak politycznej jak literackiej wielkości, poczęła iść na uboczu i niezależnie, o własnych tylko siłach, z góry spoglądając na współzawodników, — aż wreszcie została z tyłu i w coraz ciśniejszy wchodziła zakres. Z czasem jednakże pomimo tak wybitnej oryginalności, zaczęła obcym ulegać wpływom. Najpierwszy arabski nie tyle może pozostawił na niej śladów, ile później wpływ literatury włoskiej: w zeszłym zaś stuleciu piśmiennictwo francuskie zalało Hiszpanję naśladownictwem, a z tąd dopiero powodzi wyszła literatura znów narodowa, lecz odświeżona, zasilona, pełna życia i przyszłości. A więc z zetknięciem się z żywiołami obcymi Hiszpania skorzystała, mimo to dla piśmiennictwa innych narodów wielki znajdzie się

zasilek w jej źródłach tak bogatych. Z drugiej strony Hiszpanie innym narodom ukazują się jakby z po za mgły, tyle tam rzeczy jeszcze nieznanych albo źle znanych. Czytaliśmy tak wiele opisów podróży odbytych po iberyjskim półwyspie, o zwyczajach tego ludu, o jego obliczu, postawie i stroju, o charakterystycznych zabawach, o gmachach i innych dziełach sztuki napiętnowanych oryginalnym geniuszem, a jednak w Europie bardzo słabe jest pojęcie o Hiszpanji. Długie wczytywanie się w plody literatury może najwięcej posłużyć do poznania i zgłębienia obyczaju, charakteru ducha narodowego: nawzajem zaś znajomość ta przyczyni się do zasmakowania w utworach, często tak dziwnie oryginalnych

A właśnie ta literatura tak ogromnie zasobna jakże jeszcze mało jest gdziekolwiek znana! We Francji zaledwie kilku wyjątkowych geniuszów zaczerpnęło z tej skarbnicy i przeniosło na własne pole, kilka plodów bujnej hiszpańskiej mistrzów wyobraźni: inni tłumacze podają niewielką liczbę utworów w przypowie francuskiej, to jest przekształcone, skrzywione, nie troszcząc się bynajmniej, że cel przekładów całkiem chybił, że tylko mylne wyobrażenia można z takowych zrobić sobie o tej literaturze. Dzisiaj dopiero nastaje epoka ocknienia i pojęcia całej wagi prac podobnych. Wysokiego rzędu talenta zaczęły poświęcać swoje pióro na objawienie tych rzeczywiście nowych odkryć, na zasilenie nowym żywiołem ojezystej niwy literackiej. Nie sądźmy jednak, że piśmiennictwo francuskie oszczędzi nam pracy podając do wiadomości powszechnej te przyczynki do literatury wszechnarodowej: spuszczać się na to pozorze ułatwienie nie byłoby dla nas z korzyścią.

Mimo bliższego pokrewieństwa tak plemiennego jak językowego, dwa te sąsiednie narody są jednakże wielce duchem różne: dziwnem zaś może niejednemu się wyda, iż w wewnętrznym narodowym nastroju i w posługiwaniu się mową dla wyrażenia uczuć, wrażeń, uderza nieraz pewne duchowe pobratymstwo z nami. Śledząc przyczyn i źródeł tego zbliżenia znalazłoby się ich w istocie niemało, lecz badania takie zaprowadziłyby nas daleko po za wytknięty zakres: nie tu miejsce na nie, ani nawet na wykazanie jakichkolwiek rysów tego podobieństwa. Jedną tylko małą okoliczność pozwolimy sobie przytoczyć na poparcie powyższych ogólnikowych spostrzeżeń. Powiedziano o Juliuszu Słowackim, iż w przekładzie dramatu *Księżniczka niezłomna* był więcej Hiszpanem aniżeli sam Calderon. Zdanie to wydaje nam się przesadzonem, wszakże podobnego zarzutu żadnemu z poetów francuskich nikt nie zrobił, bo żaden z nich ani trochę nawet nie był Hiszpanem, lecz najzupełniej pozostał Francuzem, kiedy utwór hiszpański w rodzinnej mowie poznać dawał. Zatem pośredniczenie trzeciego języka, nie wyświadczyłoby wiele przysługi dla chcącego poznać we właściwym świetle tę literaturę, której odrębne zupełnie cechy i barwę, jeżeli już nie w oryginale, to w polskich dobrych przekładach znajdzie daleko wybitniejszemi, aniżeli we francuskich, gdzie przybierają w najlepszym razie, wcale kosmopolityczny charakter. Przekładów dobrych hiszpańskich utworów i my też zbyt mało posiadamy dotąd. Teatr hiszpański jeden z najbogatszych w świecie, a zaledwie mamy kilka przepolszczonych dramatów; z epopei zaś i z niewyczerpanych kopalń lirycznej poezji jeszcze mniej może. Jednym z najpóźniejszych a ważnych zabytków do tego zbyt nielicznego zbioru, jest szczęśliwy przekład poematu *Cyda*, i możemy sobie tuszyć, iż to samo zdolne pióro nie jeden jeszcze z godniejszych poznania utworów muzy hiszpańskiej, da ocenić naszej czytającej publiczności. Niwa obszerna, powoli zejda się na nią liczniejsi żniwiarze i obfite zbiorą plony, już to z przeszłości tak bogatej, już z współczesnych nam lat kilkudziesięciu, które stanowią epokę odrodzenia dla literatury hiszpańskiej we wszystkich prawie gałęziach. Chwila obecna jest pauzą w tej symfonii, której pierwsze takty tak harmonijnie zabrzmiały, a której ciąg dalszy, niepełną mamy nadzieję, jeszcze w pełnych popłynie tonach. W chwili obecnej literaci z ustaloną sławą milczą, bo

w kraju swoim gdzie zwykle czytelników tak mało, teraz wieleby ich nie znaleźli, każdy czem innem zapalczywie zajęty, czytelnicy jak pisarze czekają lepszych czasów. Nowy talent żaden się nie ponawia, wyjąwszy w sztuce oratorskiej. Kortezi usłyszeli młodych mówców którzy obiecują godnie zastąpić tych co zmarli jak Martinez de la Rosa, tych co są na wygnaniu jak Gonzalez Bravo, i tych co się starzeją jak Olozaga. Dziennikarstwo także zaprzątnięte bieżącymi sprawami, ale przyznać potrzeba że i w innych czasach stanowi ono ujemną stronę piśmiennictwa hiszpańskiego. Z wyjątkiem luźnych prac znakomitszych autorów, prasa periodyczna nie odznaczyła się rozbiorem poważnym kwestji społecznych lub naukowych, a tem mniej krytyką literacką która jest w Hiszpanii nauką zupełnie nową. Usługowano niejednokrotnie u-talić przeglądów literackie, lecz wszystkie wegetowały tylko słabo i wkrótce kończyły żywot jeden po drugim z braku poparcia ze strony publiczności. Zdolności jednak w tym kierunku nie brakuje, i w rzędzie znakomitych krytyków nowoczesnych postawić można imiona takie jak Luis de Eguilaz, don Manuel Canete, Ochoa i inne. Rozbiory ich komentarze dowodzą wielkiej pracy, sumiennosci i trafnego sądu. Na czele tego całkiem nowego zastępu stał Amador de los Rios, który pierwszy przedsięwziął skreślić całkowicie dzieje piśmiennictwa narodowego. Ztego ogromnego dzieła które będzie zawierać 15 tomów, wyszła dotąd tylko połowa obejmująca historję krytyczną literatury hiszpańskiej zaczynając od epoki łacińskiej aż do XVI stulecia. W długim usłupie autor robi przegląd sumienny wszystkich dzieł tak krajowych jak zagranicznych, które traktowały o różnych epokach lub momentach piśmiennictwa hiszpańskiego. Dalej śledzi bacznie okiem i umysłem bezstronnym ten prąd dwojaki, którym zwłaszcza w poezji na dwóch równoległych sobie drogach rozwijał się geniusz narodowy: tu natchnienie samorodne, ludowe, pełne siły i naiwności, tam tradycja greko-łacińska naginana czasem i okolicznościami, ulegająca wpływom włoskim i francuskim, i w tych źródłach kolejnych przemian, krytyk oddziela ściśle zdrowe pierwiastki odrodzenia i d naśladownictwa krzywiącego naturalne popędy. Długie rozdziały poświęcone w pierwszym tomie Ojcom kościoła nader są ciekawe i nauuczające. Tom siódmy kończy się na Karolu V. Dalsze tomy rozbiierać będą wieki nowożytnie aż do naszych czasów i mają się niebawem ukazać. W pracy dotąd dokonanej podziwiać trzeba głębokość erudycji, niezmordowaną cierpliwość może zbyt do drobiazgowości posuniętą, czem autor ściągnał na siebie zarzut, iż w dziele jego wielkie rzeczy mało się uwidatniają tonąc w powodzi mierznych i mniej godnych uwag.

Drugim powodem do nagany jest ton zbyt oratorski, często całkiem niewłaściwy, i mimo tych i tym podobnych zarzutów z upragnieniem oczekują miłośnicy hiszpańskiego piśmiennictwa ukazania się dalszych tomów które im posłużą za bussolę w zwiędzaniu tych obszernych oceanów, zwłaszcza gdy zechcą systematycznie poznać najważniejsze owoce prac współczesnych. Teraz muszą sobie z mozołem sami torować drogę, opierając się tylko na porzucanych tu i owdzie wskazówkach, gdyż z pomiędzy obcych znakomitszych krytycy nie doszli dalej jak do początku bieżącego stulecia.

Gor...

Pogadanka.

Nareszcie... zabawa w ogrodzie Saskim udała się. Komitet do jej urządzenia przeznaczony, zuecierpliwiony przekamarszaniem psotnej pogody, poszedł na przebój i nie zważając na pochmurną porę, w piątek zaczął rozlepić afisze a w sobotę pomimo deszczowego rana i zadanej aury, stroił ogród na zapowiedziane gody. Fanty były piękne niektóre nawet dosyć kosztowne: dźwięków muzycznych pełno, iluminacja bardzo malownicza, fajerwerki ładne, wodotryski pyszne, kobiet młodych dosyć, zebranie jednak

mnij było liczne jak lat poprzednich. W każdym razie komitet z zadania swego wywiązał się jak najzupełniej, a trud to nie mały, zwłaszcza gdy się nie jest pewnym czy niebieski błękit nie powlecze się chmurką na postrach toalet, fantów lekających się zamoczenia i lampek iluminacyjnych z kroplistym deszczem w wiecznej żyjących niezgodzie. Wszystko to jednak musi być przewidziane, obmyślane, urządzone, osoby do namiotów uproszone, wcześniej zawiadomione, dzień obrany odpowiedni, pogodny a nie zimny, bo od tego zależy powodzenie zabawy i wpływ pieniężny tak ważny w zrujnowanych funduszach Towarzystwa Dobroczynności.

Są jednak pewne jednostki tak przekorne, co nie uwzględniając tych trudności, wystąpiły z poślijaniem komitetu oskarżając go o brak... proroczego natchnienia w przewidzeniu tak upragnionej pogody. Gdyby w swem zwykłym żółciowo-kwaśnem usposobieniu ograniczyli się na pogadankach w kółkach prywatnych, nie miałbym nic przeciw temu. Usta żadne gadania i wygadania się trudno zmuszać do milczenia, ale po cóż męczyć prasę periodyczną, po co nudzić czytelników pragnących w pismach periodycznych nie częściej gadaniny, ale wiadomości obchodzących ogół i niosących mu jeżeli niewielki to przynajmniej jakiś taki pożytek? Czyż nie właściwiej z uwagami podobnymi udać się było prywatnie do samego komitetu, jako głównie sprawą tą zajętego?

Skłonność ta z drobnostki robienia wielkich rzeczy, przedstawienia się publicznie jako mężowie zajęci wielkimi społecznymi kwestjami, stanowi pewien rys charakterystyczny obecnych czasów. Nie idzie tu o istotne dobro ogółu, ale o popis, o pochwalenie się w gronie bliższych i dalszych, że się umie piórem machać na prawo i lewo, że się ma stosunki z redakcjami, że przez to jest się niezwykłym śmiertelnikiem, i ma powagę, znaczenie i rozum zdalny do rządzenia całym światem.

Aby to złe szerzące się z coraz większym ferworem ścisnąć we właściwych granicach, może zrobić jedynie prasa periodyczna, zamknięciem szerszym kolumn pism swoich dla wszelkich wystąpień podobnego rodzaju. Względem, znajomości, jakieś wychowania na popularność pisma, powinny raz być stanowczo odrzucone: gadatliwość jednostek, schlebienie ich próżności pisma nie stoją, ale zadowoleniem ogółu którego nie wywołuje podnoszenie kwestji nie go nieobchodzących. Że zaś ten ogół powstaje już od dawna na uwzględnianie zbyteczne jednostek ze szkoda całej masy czytelników, to znane każdemu nawet niewiele książkom naprzykrzającym się.

O człowieku nieznosnym w towarzyskim pożyciu, szorstkim, nudnym, gniewliwym, zwykle powiadamy że mu brak domowego wychowania, które jedynie daje tyle upragnioną ogłędę, umiejacą hamować porwy wewnętrznego usposobienia, i układać je do równowagi wymagań społecznych. Do działu podobnych ludzi, można policzyć i owych tak pochopnych do głoszenia publicznego różnych uwag, żalów, skarg, pytań, zaprzeczeń, będących prawdziwym ogółu utrapieniem.

Domowe dobre wychowanie nie każdy może odebrać, a wreszcie nie jest ono zawsze dostateczne. Usposobienia dzieci są rozmaite: kielkujące w nich namiętności jak pycha, lenistwo, zarozumienie, duma i t. p. nie jednej bywają mocy. Słabsze uwiedną pod rozsądnem słowem rodzicielskiem, mocniejsze troszkę przytarte zostaną, ale usunięte z pod rodzicielskiego oka na nowo wkorzeniają się, rosną, krzewią i dopiero w zetknięciu ze światem, doświadczenie podcina im podrosty często z wielką szkodą operowanego. Potrzebne więc jest silniejsze na podobne organizmy działanie, a raczej ciągłe aż do lat młodzieńczych, któreby im praktycznie przedstawiało wszystkie szkody, jakie ponosić będą w późniejszym życiu, jeżeli złych wrodzonych porywów nie okeikną, nie zapamiętają nad nimi, i nie uczą się rządzić nimi bez uległości. Czytanie stosowne, szczególnie powiastek odpowiednich dobrze napisanych, a obrazujących życie rzeczywiste nie chorobliwie wymarzone, wielką tu może być pomocą, ale i to nie jest jeszcze wystarczające. Trzeba koniecznie aby w publicznem

wychowaniu zwrócona na to była większa bacność; aby obok zwyczajnej nauki, wykładaną była nauka moralnej praktyczności wykazująca przykładami, że szczęście na ziemi każdy zdobyć może, że głównie zasada się ono na przyglądaniu w sobie złych skłonności a podnoszeniu dobrych, i że do tego dochodzi się jedynie przez własną pracę nad sobą, rozważnie i niezmordowanie prowadzoną.

Na nieszczęście w wychowaniu młodzieży pominięciem to prawie zupełnie zostaje, a przynajmniej nie ma tej opieki jaką otoczone są inne nauki wiedzę ludzką stanowiące.

Gdy młodzieniec uczy się dobrze, gdy widzimy że umysł swój bogaci potrzebnymi wiadomościami, już to nas zadawalnia zupełnie, nie wglądając, o ile zarozumienie jego przytarte zostało, pycha zgnębiona, gniewliwość ukorzoną, lenistwo złamane, a duma ułagodzoną. Nauka wszystko ogarniać winna, nie tylko głowę, ale serce i namiętności, tymczasem o głowie tylko pamiętamy, resztę pozostawiamy na Bożą wolę darząc jedynie przy sposobności pobieżnie zrobioną uwagą. Samopas więc rozwijając się, coś dziwnego, że z młodzieży wiele nawet obiecującej, wyrastają później dziwolągi wstrętne pychą, a nieznosne zarozumieniem?

Gdyby pochopni do pióra tak często nudzący czas przez szpalty pism codziennych, byli uczeni od młodzieńczych lat, że przeznaczenie pism periodycznych jest służyć społecznemu dobru, przez podnoszenie myśli ważnych, zaprzątniętych nowym pomysłem, albo krytycznym poglądem na kierunek rozwoju ogółnego: że skutkiem tego i prasa i czytelnicy powinni być szanowani, a każde przemówienie publiczne niezmiennie rozważnie robione, to z pewnością zrozumieli by odrazu, że ogłaszanie iż p. D. dla p. Z, był niegrzecznym, że inny nie włożył surduta w restauracji choć o to był proszony, że w sklepie jakimś nie chciano pożyczyc podczas deszczu parasola, w innym znów zamknięto drzwi przed nosem: że tu za głośno słówk śpiewa, tam za krzykliwe rozmawiają, że ten nie chce oddać co winien, tamten pragnie oszukać, że wreszcie dla czego sobotę przeznaczać na loterję fantową, kiedy i inne dnię równie są tyle co ona dobra: otóż z pewnością darzący pisma podobnymi doniesieniami, zrozumieli by odrazu, że marnotrawienie czasu na wypisanie się w tak błahych kwestjach, i zapełnianie nimi pism periodycznych, jest największą niedorzecznością, godną publicznego wygwizdania.

Wprawdzie nauka prawdziwa, stawia człowieka na właściwym stanowisku i kształcać rozsądek robi go panem wszystkiego co z usposobienia jego wrodzonego wypływa, ale gdy kto mało z nauki korzystał, i ograniczywszy się na elementarnym kursie nie sięgnął do jej szczytu, coś go nauczy panowanie nad własnym usposobieniem?

Gdziekolwiek sięgnąć myślą, w każdym potraceniu o najobojętniejszy na pozór przedmiot, wszędzie wypływa na wierzch oświata, nauka i wszystkie następstwa z braku ich wynikające. Są to dla myśli jak czarodziejskie kółka z których wyjść trudno, a przebywać w nich boleśnie. Gdzieindziej krocie i miliony idą na wydawnictwa dzieł pożytecznych, u nas nawet kilku tysięcy na to nie wychodzi, i księgarnie bankrutują, a drukarnie próżnują ratując się drobnostkami bez wartości znaczenia. Żeby ruch księgarski zamrożony i skryształizowany cokolwiek ożywić, czyby nie było dobrze założenie księgarni ruchomych, przewożonych z miejsca na miejsce, nie opuszczających po drodze najmniejszej osady choćby najniepozorniejszej. W zbiorze książek tak wożonych mogłyby się mieścić najróżnorodniejsze, począwszy od książeczki nabożnej aż do dzieł czysto naukowej treści. Można by przytem mieć nuty, ryciny, materiały pismienne, a nawet należałoby przyjmować obśtalunki na dzieła nie znajdujące się w obwożonym zbiorze, z obowiązkiem sprowadzenia ich z Warszawy wprost pod adresem kupującego. Naturalnie kramarz taki musiałby być w stosunku ze wszystkimi księgarniami Warszawskimi, a nawet z wydawcami pism periodycznych, z upoważnieniem przyjmowania prenumeraty.

Dla pewności musiałby złożyć odpowiednią kaucję, lub poręczenie osoby odpowiedzialnej.

Ludzie lubią niezmiennie ułatwienia we wszystkim, i radzi jak najmniej w każdej rzeczy zadawać sobie trudu. Niejeden poświęciłby chętnie rocznie na kupno książek pewną kwotę pieniędzy, ale nie ma do tego sposobności. Jeżdżący księgarz poda mu ją i tym sposobem nowe setki znajdują się kupujących i nowe tysiące czytających.

U nas księgarstwo wędrujące z pewnością byłoby korzystne: tylu ludzi łaknie chleba, szuka go, dla czego nie weźmie się do niego? Pragnący z myśli tej korzystać niech się zblizną do Janka z Bielca; dla pogadania, naradzenia się, a może i uradzenia czegoś dobrego i korzystnego.

Teatr Warszawski ciągle zajęty „Piękną Heleną“ bo tylko jedynie jej wdzięki ściągają liczne tłumy ciekawych. Inne przedstawienia nie mają tej łaski. W tych dniach pan Rychter tyle utalentowany artysta pożegnał podobno scenę Warszawską na zawsze. Szkoda go wielka, bo jako talent pierwszorzędny nie łatwo przez kogo zastąpionym zostanie, choćby nawet przez p. Rapackiego.

— W niedzielę, 29go czerwca (11 lipca), w uroczystość św. apostołów Piotra i Pawła, odbyło się poświęcenie nowowzniesionej na przedmieściu warszawskiem Pradze cerkwi prawosławnej pod wezwaniem św. Marji Magdaleny. O godzinie 9ej zrana, na ogłos dzwonów z cerkwi katedralnej, duchowieństwo miejskie, które nie brało udziału w poświęceniu świątyni, udało się procesjonalnie z tejże cerkwi katedralnej, dla przeniesienia do cerkwi na Pradze obrazu św. Marji Magdaleny, Najmiłostwiej ofiarowanego przez Najjaśniejszą Cesarzową Marją Aleksandrowną. Na spotkanie obrazu wyszedł procesjonalnie z cerkwi praskiej, znajdujący się już tam najprzewielebniejszy arcybiskup Joanicusz, w asystencji duchowieństwa. Następnie, po wejściu do cerkwi o godzinie 10ej, rozpoczęło się poświęcenie świątyni dokonane przez najprzewielebniejszego arcybiskupa w asystencji czterech kapłanów; niezwłocznie potem odprawiona została liturgia św., a po liturgji odprawiono nabożeństwo dziękczynne.

Po przybyciu na uroczystość poświęcenia cerkwi Jenerał-Feldmarszałek, J.W. Hrabia powitany został u wejścia przez prezesa komitetu budowniczego, senatora, jenerał-lejtnanta E. P. Rożnowa, który przemówił przy tej sposobności do J.W. Hrabiego w następujących słowach: „W stałej troskliwości o Najwyżej powierzony wam kraj, dokonaliście, J.W. Hrabio, i pozostawicie wiele zaszczytnych pamiątek waszych błogich rządów. Wzniesiona, za wstawieniem się waszem u Monarchy, i poświęcona obecnie świątynia, zespoli z nią na zawsze wasze imię w dziejach, w modłach braci prawosławnych, i zaświadczy najlepiej przed przyszłymi pokoleniami o usilnej do utrwalenia tu i imienia ruskiego i narodowości ruskiej. My, jako wykonawcy waszych planów i wskazań, poczytujemy siebie za szczęśliwych z powodu przeznaczonego nam udziału w wzniesieniu tej świątyni, i jeżeli nasze prace usilne zaszczycone zostaną waszem uznaniem życzliwym, będzie to dla nas najpochlebniejszą od J.W. Pana nagrodą.“

Na to J.W. Jenerał-Feldmarszałek raczył odpowiedzieć „Błagam Boga, ażeby usłyszał te modły, które zanoszone będą do Niego w tej świątyni.“

W Cerkwi znajdowali się już wyżsi urzędnicy wojskowi i cywilni, znakomitsze osoby, damy i wszystkie te z osób, prywatnych przybyłych na uroczystość, które mogły zmieścić się w niej; u wejścia do cerkwi i na placu przed nią znajdowało się mnóstwo ludu. Po nabożeństwie, zastawione zostało w lokalu punktu zbornego wspaniałe śniadanie, na które zaproszono około dwustu osób obojey płci. Podczas śniadania, pierwszy toast, wzniesiony przez J.W. Jenerał-Feldmarszałka za zdrowie Najjaśniejszych Państwa przyjęty został głośnymi i przeciągłymi okrzykami „hura“, poczem śpiewacy arcybiskupa odśpiewali hymn narodowy. Drugi toast wzniesiony został także przez J.W. Jenerał-Feldmarszałka, za zdrowie arcybiskupa i całego duchowieństwa prawosławnego, poczem odśpiewano pieśń o długie lata. Trzeci toast, wzniesiony przez senatora Słowjewa za zdrowie J.W. Jenerał-Feldmarszałka, przyjęty został okrzykami „hura“, poczem odśpiewana została pieśń o długie lata. Czwarty toast wzniesiony został

przez Jenerał-Feldmarszałka za zdrowie prezesa i członków komitetu budowniczego (*), i następnie za zdrowie opiekuna parafji, jenerał-majora Sobolewskiego.

Tak dokonany został pamiętny fakt poświęcenia pierwszej świątyni prawosławnej na Pradze, która jakkolwiek jest przedmieściem Warszawy, lecz z powodu swego położenia, oddzielonego od miasta rzeką Wisłą, stanowi jakoby osobne miasto, mieszczące w sobie znaczną liczbę ludności ruskiej. Pod tym względem nowowzniesiona świątynia jest wielkiem dobrodziejstwem dla mieszkańców prawosławnych Pragi. Czytelnikom naszym wiadomo już, że do parafji cerkwi Marińskiej, zaliczeni także zostali mieszkańcy prawosławni z powiatów sąsiednich. Na przełożonego parafji przeznaczony został ksiądz Juchnowski, który bawił przedtem w Dreźnie.

1) Skład komitetu budowniczego jest następujący: Prezes, senator, jenerał-lejtnant Rożnow; członkowie: budowniczy, kapitan od inżynierji Golikow, wice-gubernator warszawski Daniłow, pułkownik Griszyn, dyrektor gimnazjum radca stanu Orłow, dymisjonowany podpułkownik Fedorenko, proto-prezbiter katedry prawosławnej Metanjew i poczesny obywatel Wsiewołod Istomin.

(D. W.)

Doniesienia literackie.

N. 80. Przyjaciela Dzieci, wyszedł z druku i zawiera Londyn (z dwoma rycinami). — Kwesta na Balu. — Owady (c. d.). — Bocian i Liszka (z ryciną) bajka Ignacego Krasickiego. — Rozmaitości. — Korespondencje. — Szcześnie i zasługa (bajka) F. Mikorskiego. Prenumerata w Warszawie miesięcznie kop. 35, kwartalnie rs. 1 kop. 5. Na prowincji w Cesarstwie i zagranicą kwartalnie rs. 1 kop. 75.

O UBIORACH.

Warszawa tak staje się wyludnioną w tej porze ogólnych ferji, że gdyby nie dni świąteczne, to można by mniemać że bawić się i stroić nie umie lub nie chce; w powszednie dni ubrań wykwinnych nie widać zupełnie na ulicach, gdyż pozostała tu mała garstka ludzi pracą przykutych do bruku miastowego, nie myśli o świetniejszym przystrojeniu siebie, a możniejsi mieszkańcy miasta uciekają na letnie mieszkania lub do wód zdrowotajnych.

W strojach rozmaitość niewielka, kapelusze najbardziej noszone są okrągłe, forma ich zwykle płaska, czasem jednakże przybraniem z koronek i kwiatów mocno nad czołem podniesiona; osoby młode i dzieci z upodobaniem noszą kapelusiki chińskie zupełnie płaskie, przybrane tylko na rondku małemi kokardkami w kształcie motylków, z pod kapelusza takiego wychodzi szeroka szarfa ze wstążki, która się związuje na kokardę z długimi końcami i wypada na koku.

Zwiedzając w tych dniach magazyn p. Kwiatkowskiego, mieliśmy sposobność widzenia wielu pięknych rzeczy, przeznaczonych do ubrania spacerowego, pośpieszamy zatem szczegółami, podzielić się z czytelnikami naszymi.

Kostiumy odznaczały się elegancją prostotą, główną ich zaletę stanowiła dobroć materiałów i przystępna stosunkowo cena.

Te szczegółniej na wzmiankę zasługują:

Kostium z materiału z czystej wełny z jedwabiem, jakby sztywny barek tylko znacznie gęściejszy. Przednie trzy bryty tej spódnicy są koloru perłowo popielatego w szafirowe paski, z szeroką falbaną z tegoż samego materiału tylko krajana ukośnie, i zakończoną u nagiłowka ruszą. Tylnie bryty są koloru jasno-piaskowego i naśladują drugą spódnicę, która u góry w ten sposób jest podpięta, że tworzy dwie bufy na środku od których spada jakby fracek oszyty do koła falbanką, nadto spódniczka ta u dołu oszyta jest dwukrotnie falbanką z tegoż samego materiału, a miejsce gdzie bryty paskowe schodzą się z piaskowemi, pokryte jest trzema wielkimi

patkami wychodzącemi jedna z pod drugiej, i przytrzymującemi niby piaskową spódniczkę. Do tej sukni była bluzka z materiału piaskowego koloru mocno wycięta *en coeur*, ogarniowana ruszą; wycięcie stanika aż pod samą szyję zapinał materiał w paski naśladujące niby szmizetkę. Pasek zapina się z tyłu na rozetę.

Drugi kostium był pełen dobrego gustu.

Dolna spódniczka jedwabna prześlicznego koloru fioletowego, oszyta cztery razy falbanką wycinaną w ząbki. Zwierzchnia spódniczka z czarnego kaszmiru objęta falbanką i podpięta z obu stron wielkimi patkami z jedwabnej fiołkowej materji. Dopelnienie kostiumu stanowiła bluzka z ranwersami fiołkowego koloru, zakończonemi takąż ruszą, oraz pelerynka z końcami z przodu i z tyłu, cała objęta fiołkową ruszą do koła.

Trzeci kostium był popielaty *glassé* z koziej wełny, spódnica za całe przybranie miała u dołu bardzo szeroką falbanę, zakończoną u góry ruszą. Za okrycie dodany był wolny paletot oszyty falbanką z nagiłowkiem, i ubrany na plecach szeroką szarfą przypiętą przy szyi i podpiętą kilka razy na plecach w pukle w ten sposób, że krótko tylko spada na spódnicę. Pasek zapina się z przodu po przyciągnięciu pod puklami ułożonemi z szarfy na plecach.

Oprócz powyższych opisanych kostiumów widzieliśmy także pikowe białe i żółte, ubrane plisami i falbankami, bardzo świeżo wyglądające i nadzwyczajnie starannie odrobione. Cena tych sukien od 15 do 20 rs.

Okrycia mają formy prześliczne, lubo wyznać trzeba że tylko na zgrabnej figurce wydać się dobrze mogą, gdyż wszystkie są obeśnięte paskiem do figury, a nieco tylko przykryte małą pelerynką z wierzchu. Opiszemy tu kilka okryć któreśmy widzieli u p. Kwiatkowskiego, cena ich od 15 do 30 rs.

Pierwsze okrycie stanowił paletocik do figury z *poult de soie* czarnego, którego tunika wycięta w pięć wielkich zębów, objęta była dwukrotnie niewielką falbanką. Stanik tego paletocika przybrany był falbanką w kształcie szelek, i przypięty paskiem zakończonym z tyłu kokardą. Rękawów nie było zupełnie.

Bardzo oryginalne okrycie stanowił paletocik z przodu wolny, z tyłu zaś tworzący tunikę i pelerynkę, cały w około objęty ruszą z tegoż *poult de soie* co i paletocik i bogatą kwaskową frendzlą. Dla osoby starszej była wielka z *poult de soie* mantyla z przedłużonemi z przodu końcami, ubrana wodami w kształcie szelek; pasek przytrzymuje mantylkę z tyłu w ten sposób, że zdaje się być wciętą do figury; przody pozostają wolno puszczone. Brzeg otacza wody.

Wiele tam było jeszcze okrywek zasługujących na szczegółowy opis, ale że z małemi zmianami wszystkie prawie były to wolne paletoty bez rękawów z pelerynkami więc poprzestaniemy na powyższych wymienionych, dodając że jedyne urozmaicenie tych okryć stanowią przybrania. I tak: raz tunika była dłuższą to znowu krótszą, raz tworzy buffy, to znowu zęby obejmowane falbanką lub frendzlą i t. d.

Na deszczowe dni bardzo modne są płaszczki pokrywające doskonale całe ubranie, wyrabiane najczęściej z madrasu w rozmaitych kolorach ciemnych z pelerynką podpiętą rozetą na plecach. Cena takich płaszczków jest od 12 do 15 rs.

Opis ryciny paryżkiej.

Figura 1. Na gładkiej sukni powłóczystej, tunika garnirowana koronką białą, podpięta rozetami. Na

bocznych brytach i rękawach wylogi z białej materji. Stanik wycięty na przodzie, obszyty marszczoną koronką w kształcie kryzy. Na głowie loki, grzebień sztyldkretowy.

Figura 2. Suknia czarna jedwabna na spódniczce jedwabnej w kolorowe paski. Krój w dodatku Fig. 1—11. Przednie bryty zrobione są na podszewce, tylne zaś zupełnie proste, długie przeszło siedm ćwierci, szerokie dwa i pół łokcia przymarszczają się do bocznych brytów od L do M i do tasimeczki w poprzek z lewej strony dla utworzenia buffy. Kokarda wachlarzowa ułożona w fałdki jak linje wskazują i garnirunek wycinany w zęby z rulonikiem atlasowym, uzupełniający przystrojenie sukni. Na spódniczkę w pasy podaliśmy tylko przedni bryt, gdyż tylne są zupełnie proste 5 cent. dłuższe krajane od przedniego, przymarszczone u góry w pasie. Falbana 20 cent. szeroka, objęta rulonikiem układa się w głębokie fałdy. Zamiast spódniczki w pasy, ładnie także wygląda czarna jedwabna z falbaną bez kolorowej wypustki.

Opis kroju dwóch staników gorsecikowych.

Stanik z popielatą alpagi. Krój Figura 1 do 6. Na gorsecik ten kraje się z materiału wierzchniego i podszewki podług Fig. 1 i 3-jej po dwie części z dodaniem do fig. 1, 2 centy. wierzchu na obręb, podług fig. 2 i 4. plecy i berte w całości. Po zeszytciu stanika podług liczb jednogodnych i zrobieniu zaszepek w przodach, robią się z prawej strony stanika dziurki do zapinania na guziki. Berta zaszyta od N. 17 do 18 obejmuje się jedwabną pliską 1 1/2 cent. szeroką, garniruje frendzlą i przyszywa do stanika.

Stanik gorsecikowy z niebieskiego *poult de soie*. Krój fig. 7—12. Podług figury 7, 8 i 10 kraje się z wierzchu i podszewki po dwie części, podług fig. 9 plecy wzdłuż linii środkowej w całości, z dodaniem 2 cent. wierzchu na obręb w przodach, w których się robią dziurki i przyszywają guziki do zapinania stanika. Po zeszytciu gorsecika podług liczb jednokowych, wciągają się w zaszepek miękkie i krótkie fiszbiny i obszywa stanik wypustką. Ranwers garnirowany jest ruszą prosto krajaną 3 cent. szeroką, w ząbki wycinaną z materiału sukni.

Nakładem kantoru księgarskiego Zygmunta Siefertsteina, przy ulicy Sto Krzyskiej N. 1341 (13) wyszedł zeszyt piąty dzieła pod tytułem „Świat Duchów“ czyli Sny, przecucia i widzenia, przez L. ona Rogalskiego. Przedpłata za całe dzieło w miejsu czy z przesyłką na prowincji Rs. 1.

Korespondencja.

Pani Michalinie R. Suknia gotowa, wełniana kosztować będzie rs. 18. Pani Julji Mi: Rs. 100 na sprawunki odebrałam, ale listu z wyszczególnieniem rzeczy, mających się kupić nie mieliśmy. Pani Zuzannie P... Rękawiczki męskie droższe są od damskich 15 kop. na parze.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemińskiego.

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryżka kolorowana oraz arkusz z krojami dwóch staników gorsecikowych i sukni przedstawionej na rycinie paryżkiej kolorowanej.